Josef PIEPER

„KTO JEST BEZ WINY..."*

Jak łatwo – w mechanizmie totalitarnego systemu władzy – może coś być pierwszym krokiem na drodze, na której tylko z trudem nie postawi się drugiego, a następnych kroków już nie można uniknąć – chyba że dzięki całkowicie heroicznej decyzji, której raczej nie należy się zwyczajnie od człowieka domagać.

„Przygodnym świadkiem wieszania", jak Eta Harich-Schneider twierdzi o sobie, na szczęście nigdy nie byłem. Natomiast w latach 1966-1968 uczestniczyłem przez wiele dni jako świadek naoczny i ze słyszenia w „procesie zbrodniarza wojennego" prowadzonym przed sądem krajowym w Münster. Chodziło o akcje policyjne w Stanisławowie – mieście pierwotnie polskim, po pakcie Hitlera ze Stalinem w 1939 roku zajętym przez Rosjan, które w czerwcu 1941 zostało zdobyte przez wojska niemieckie, a dziś z kolei należy do Rosji. Byłem dobrym znajomym jednego z sędziów w tym procesie, i to on obiecał mi, że będzie mnie zawsze powiadamiać, kiedy należy spodziewać się szczególnie ważnego dnia rozprawy.

Oto pewnego poranka wszedłem na salę sądową; w milczeniu, jako że rozprawa była już w toku, wskazano mi wolne krzesło. Przewodniczący wzywał właśnie głównego oskarżonego do złożenia zeznania, jak z tym „wszystkim" zaczął. Podniósł się dobrze wyglądający mężczyzna, który w jasnej, przemyślanej mowie umiał doskonale przedłożyć swą sprawę. Był o jakieś pięć lat młodszy ode mnie, a więc w czasie zarzucanego mu przestępstwa nie miał jeszcze trzydziestu pięciu lat. Jak zaczyna się coś takiego? Dokładnie to pytanie nurtowało również mnie; nurtuje mnie ono nadal. Mogło wprawić w zadumę to, cośmy usłyszeli w ciągu kolejnych dni. Gdybym znalazł się w podobnej sytuacji jak ten młody wówczas oficer policji – co uczyniłbym sam, w tym trudno postrzegalnym momencie, w którym zaczęło się nieszczęście?

Gdy Stanisławów został zdobyty przez prące stale do przodu niemieckie oddziały, oskarżony otrzymał zadanie założenia ze swoimi ludźmi w zdobytym mieście centralnej placówki policji. Od razu stał się więc przełożonym władz. Pewnego dnia pojawiła się u niego – jak zeznawał – delegacja obywateli, którzy po nieopisanym bałaganie pierwszego przestraszenia znowu odnajdywali się w pewnej normalności. Powiedzieli szefowi policji o wielu

* Fragment książki: J. Pieper, *Eine Geschichte wie ein Strahl. Autobiographische Aufzeichnungen seit 1964*, München 1988, ss. 164-168.

aktach przemocy, jakie miały miejsce w mieście w czasie panowania Rosjan; pokazali zdjęcia pobitych i maltretowanych, dołączając jednocześnie listę nazwisk sprawców: niektórym z nich udało się uciec, w większości jednak przebywali jeszcze w mieście i byli powszechnie znani. Od niemieckiej policji porządkowej, która początkowo cieszyła się dużym zaufaniem, oczekiwali teraz ukarania winnych. „Wytłumaczyłem ludziom, że o takich środkach nie mogę decydować. Musieliby się zwrócić do nadrzędnej instancji w Łodzi; tam powinni przedstawić dokumenty". – „Czy to zrobili?" – zapytał przewodniczący. „Ale pan sam niczego nie przedsięwziął?" – „Tak, zrobili to; ja oczekiwałem i w ogóle niczego sam nie podjąłem! Trwało to zresztą dosyć długo, zanim z Łodzi przyszło zawiadomienie. Przysłano mi listę nazwisk, którą już znałem, a na której wiele nazwisk było zaznaczonych krzyżykiem. To oznaczało, że jedne z wymienionych osób należało aresztować, a inne rozstrzelać". Oskarżony zamilkł; to ostatnie zdanie zostało powiedziane w tonie zamykającego oświadczenia. Przewodniczący uznał trwające milczenie za zbyt długie, zapytał więc ostro: „A potem?" – „Potem wypełniłem rozkaz! Powiedziałem sobie: sprawę zbadano w Łodzi". – „Wtedy jednych pan uwięził, a drugich zakatrupił?" – „Nie, panie przewodniczący, nie zakatrupiłem! To było stracenie!" – „Jaka jest różnica?" – „Oznajmiłem skazanym, co ich czekało, i zanim wydałem rozkaz strzelania, dobyłem szpady".

Aż do tego momentu ów mężczyzna zdawał się mówić bez zauważalnego podniecenia, sam przekonany i wiarygodny. Pomyślałem: założywszy, że powiedział prawdę, być może, czy nawet prawdopodobnie nie postąpiłbym inaczej w podobnej, przez wojnę określonej i dla jednostki trudno rozpoznawalnej sytuacji. Zaraz jednak stało mi się jasne, jak łatwo coś takiego – w mechanizmie totalitarnego systemu władzy – może być pierwszym krokiem na drodze, na której tylko z trudem nie postawi się drugiego, a następnych kroków już nie można uniknąć – chyba że dzięki całkowicie heroicznej decyzji, której raczej nie należy się zwyczajnie od człowieka domagać. Przeszło mi przez myśl zdanie z *Galilei* B. Brechta: „Nieszczęśliwy kraj, któremu potrzeba bohaterów".

Proces toczył się dalej. Zniecierpliwiony sędzia z niepowstrzymanym gniewem postawił następne pytanie: „Czy później, przy masowych rozstrzelaniach karabinami maszynowymi, wyciągał pan również swoją szpadę? Czy to były także stracenia? Co to było?" W tym momencie postawa oskarżonego zmieniła się radykalnie. Jego mowa wpadła niejako w poślizg. Najpierw wiele rozprawiał o rzeczach, o których wówczas w ogóle nie mógł nic wiedzieć, na przykład o Konferencji w Wannsee, na której zostało postanowione „ostateczne rozwiązanie" kwestii żydowskiej. Sędzia przerwał mu machnięciem ręki i powtórzył swoje pytanie: „Co stało się wtedy? Jak pan sam się zachował?" Każdemu przecież wiadomo, jak straszne rzeczy rozegrały się wtedy na tyłach frontu na Wschodzie, i nie tylko tam. Oskarżony, jak wykazał proces, nie tylko nadzorował wykonywanie rozkazów „zgodnie z obowiązkiem", lecz uczestniczył w okrutnych aktach przemocy, w szczegól-

nie bestialski sposób okazując szał na widok krwi. To jest także, jak mi niedawno powiedziano, racja, dla której prośba o ułaskawienie skazanego na dożywotnie pozbawienie wolności już dwukrotnie została oddalona. A więc jeszcze dziś (1986 r.) skazany, który przekroczył już siedemdziesiąty piąty rok życia, pozostaje w więzieniu.

Nie uczestniczyłem już w procesie, w którym cała grupa oskarżonych stała przed sądem. Ale przypominam sobie dokładnie pewien argument wielokrotnie przytaczany przez głównego oskarżonego: „Nie było przecież w Niemczech nikogo, kto by mi jasno powiedział: to, co robisz, jest krzywdą". Myśli moje ciągle wracały do tej granicy, której nie można wyznaczyć z pewnością, na której kończy się to, co jeszcze daje się usprawiedliwić, a zaczyna się obszar właściwej krzywdy. Wciąż dźwięczy mi w uszach to pytanie oskarżonego, podniesione bezradnie na tej linii demarkacyjnej, pozostawione bez odpowiedzi, a później oczywiście całkiem przemilczane: „Co mogłem zrobić?"

Wszystko to powróciło mi we wspomnieniu przed kilkoma tygodniami, podczas nagrywania programu telewizyjnego *Świadkowie stulecia*. Naturalnie wśród wielu skierowanych do mnie pytań nie mogło zabraknąć jednego: „Czego się pan dowiedział o zbrodniach reżimu narodowosocjalistycznego i jak pan na to reagował?" W pierwszym tomie moich autobiograficznych szkiców, który ukazał się w roku 1976, wyczerpująco przedstawiłem, co mi, jako pełniącemu funkcję „psychologa wojskowego", opowiedział po raz pierwszy o wymordowaniu Żydów na Ukrainie naoczny świadek, młody jeszcze rekrut. Jak zareagowałem na to. To, co usłyszałem, ze wszystkimi szczegółami opowiedziałem przy okazji wieczornego spotkania moim towarzyszom, którzy podobnie jak ja byli członkami niemieckiego Wehrmachtu w randze kapitana lub majora. Z wyjątkiem jednego, który głośno pochwalał takie akcje jako doskonałe rozwiązanie sprawy żydowskiej, wszyscy pozostali milczeli. Przed kamerą powiedziałem to, co w mojej książce dla uniknięcia wielkich słów pozostało niedopowiedziane: mianowicie, że wówczas wobec moich towarzyszy nazistów określiłem haniebne zajścia jako „ohydne przestępstwo"; nie potrzeba było oczywiście do tego nazbyt wiele odwagi. Ale publicznie także ja milczałem. Czy nie powinienem był wołać: tu stała się straszna zbrodnia? Inni, nieliczni czynili to przecież i płacili za to życiem. Krótko po wojnie pisała mi Inge Scholl, że jej brat czytał moje książki. Na początku zaś 1986 roku siostra Willego Grafa, który również należał do kręgu „Białej Róży" („Weisse Rose") i został skazany, przysłała mi fotokopię karteczki z dziennika jej brata: „Przeczytałem J. P. *Über das christliche Menschenbild*" (*O chrześcijańskiej wizji człowieka*).

Dwojako zbulwersowany i zawstydzony odczytuję te słowa. To, o czym jedni piszą, inni czynią.

Tłum. *Ks. Alfred Wierzbicki*